

1.

Tak się powinno, wartko, ostro, szarmancko wręcz, tak jak najlepsi, no.

Kim ty właściwie jesteś?

Ano snem twoim, koszmarem rzekłbym, każdym jestem, każdym złym i dobrym, lepszym, najlepszym, najgorszym, tym ze snu najgorszym.

Co ci się dzieje?

Ano stukam sobie, w klawiaturę sobie stukam, bez pomysłu, bez niczego właściwie. Bez słów nawet stukam, bo to nie słowa, to *coś* poprzedzające stukanie.

Skoro tak, to bardzo dobrze, bo mam dla pana wiadomość.

Tak? A jaką?

Ano już mówię.

No to mów pan.

Jestem rozdwojony.

Ja czy ty?

Ja

I ty.

No to ładne kwiatki.

Najładniejsze można powiedzieć. Orchidee. Oleandry. Albo te, no, co muchy żrą.

A one ładne są?

Panie! Najładniejsze.

2.

Twarz moja, w lustrze, obok maszynka, nieużywana od dawna. Od nigdy. Nic to nie zwiastuje, nie znaczy nic a nic, nul, zero. Za mną ona, myje zęby. Biorę telefon z półki, ustawiam nagrywanie i kamerynuję. Zostaw – mówi – Nie kamerynuj. Zdejmuję bluzkę jedną ręką, drugą, tę z aparatem do lustra przysuwam, tak żebyśmy w kadrze byli, przede wszystkim ona, jej złość – domniemana tylko – bo tak naprawdę kręci ją, że uwieczniam to, co się tu odpierdala. Zostaw – mówi jeszcze raz. Później telefon upada

na kafelki.

*

W łóżku prosi, bym podłożył pod nią koc, bo ma *to*. No wiesz, TO! Wychodzę, wracam z ręcznikiem. – A to może być? – pytam. Może. Wciskam pod spód, i wchodzę o od tyłu. Tak na leżąco, na łyżeczkę.

Naprzeciwno nas na materacu śpi Mateusz z Kasią. Są małżeństwem, więc nie robią tego co my. Patrzą na nas tylko. Dopiero po latach dowiemy się, że Kasia, to tak naprawdę chciała to co my, a Mateusz nie bardzo. I gdy tak nas obserwują, myślę sobie, że to fajne, że jesteśmy tacy ochoczy. Że mamy tę iskrę, a na Nowy Rok, w Sylwestra, życzymy sobie, żebyśmy jej nigdy nie stracili. Tej iskry. Żeby te wszystkie przebieralnie, kina, krzaki, parki, ławki, klatki, boiska, rogi, nie straciły swej mocy, żebyśmy jej nie stracili.

Później jestem w związku, który nie ma jej od początku. Tej iskry. I tak trwam sobie aż mnie nie jebnie. A gdy jebnie, to okaże się, że ten rok, który minął, te cztery lata właściwie, to jedno z gorszych. Że czas, jak to mówią, na zmiany.

3.

Tatar z whisky znany jest powszechnie.

Tatar dla prawdziwych mężczyzn – znany jedynie prawdziwym mężczyznom.

Przepis: rzucasz w krowę paletą jajek, workiem cebuli i dwoma dużymi słoikami musztardy. Jeśli krowa nadal żyje, znaczy, że można jeść – *voilà!*

Wymyśliłem, że od pierwszego stycznia ograniczę spożycie mięsa. Takie postanowienie; nie mówiąc już o ograniczeniu tego i tamtego. Po prostu, mniej mięsa, szlus.

Pierwszy dzień poszedł świetnie. Przecież ryba to nie mięso. I warzywa podsmażone na smalczyku też nie.

4.

To brzmi jak pamiętnik. To życie. Nie przeżywam go, tylko przepisuję bezmyślnie jak wtedy w ławce, jak w szkole na lekcji. Zapominam o trwaniu, że jest ciągłość no, po coś jest *coś* i ma to na późniejszy wpływ, jakkolwiek ale jednak wpływ. Zapominam, że czas bimba sobie poza percepcją, a nasza wyrazistość – szpilkowatość – jest ulotna. Jebana.

Zapominam wiele rzeczy, dlatego wszystko brzmi jak pamiętnik. Dlatego wszystko nim jest. Te wszystkie zdjęcia, aparaty, słowa.

Zapominam o wielu rzeczach, ale nie o tym, by nie być pamiętnikiem. Zapomniałem o tym we mnie, o serduszkach, o seksie – o tym to cholernie zapominałem, no mówię wam, wszystko won, nie ma nic; żadnych godzinnych plaż i piasków, nie ma tramwajów w Lizbonie, żadnych wąskich przejść, tych cieniutkich jak makaron ryżowy, wschodów nad byle miastem, nic. Nie ma miejscowości, chleba na naturalnym zakwasie, już nie mówiąc o mandarynkach w grudniu, bo ich też nie ma. Tabletek, poronień, wypadków, smoły, smolistych, smogów, nie ma Turnera ani Pueblo. Nie ma pierogów ruskich, litewskich, japońskich, dolnośląskich. Nie ma parkingów dla niepełnosprawnych i wózków inwalidzkich – inwalidzi chodzą rękami, albo do tyłu. Tyłem. Widzieliście kiedyś coś takiego? Jak jeszcze były te wózki, jak przepiękny pan, gej, niepełnosprawny, wjeżdża całkiem przypadkiem kołem w gówno. Widzieliście? A obok reklama: sprzątaj po swoim psie. Jej też już nie ma.

Nawet jej cipy nie ma, czarnej, jakby ją węglem tarła. Nic. Po prostu nie ma i tyle, i chuj i cześć. Zapominam.

Ale nie o tym, by nie być pamiętnikiem. O tym to pamiętam.

Mój notes ugina się niczym Ziemia pode mną. Jelita tańczą, grają jakąś sobie znaną melodię, a ja co? A ja nie zapominam. Mój notes wie wszystko, wie o mnie, o niej. Taki już jest, choć w ogóle go nie ma.

Miasto popuchło od deszczu – słyszałem o tym kiedyś, dopiero teraz widzę. Nie ma śniegu, od dawna już, tak jak ja zapominałem, tak on sobie przypominał – śnieg – o niebyciu. Nikt nie lubi czarnego śniegu. Dzieci lubią białe i żółte. Ten żółty jak się im powie, że jest najlepszy w smaku. Białe po prostu, bo jest. Czarnego nie lubi nikt, nawet dzieci.

Deszcz. Nieustanny.

5.

Kazik ma to do siebie, że jest, Kazimierz w sensie – dzielnica, ma to do siebie, że pojawia się nagle, bez zapowiedzi. Na pierwszym naszym spotkaniu wyłoniła się spomiędzy przestrzeni, i to o wschodzie słońca. Mogło się już nic nie wydarzyć, to był początek i koniec, wschód i zachód, coś, nic. Musiałem jednak zejść, opuścić piętro, z którego widać było to żydostwo jak z lotu. Zszedłem po schodach i wróciłem z powrotem do mieszkania, a tam *replay*, znowu, kolejna kobieta, z takimi samymi oczami jak ta, co nas wzięła na górę między to słońce i dachy, tyle, że mniej odważna, acz wystarczająco szalona by wziąć mnie za rękę i z powrotem na schody wyprowadzić. Tym razem nie szliśmy w górę, a w dół. Chodź – powiedziała – Pokażę ci coś.

Chwilę później jechaliśmy na rowerze. Tak po prostu. Ja pedałowalem, a ona, klasycznie, siedziała na ramie. Przedstawiliśmy się sobie. Ona mi, ja jej pod innym imieniem – taki mój władczy żart. Nie jestem przekonany do tego, co teraz napiszę, ale chyba właśnie wtedy po raz pierwszy poczułem sens wiatru i siłę alkoholu; światła w mieszkaniach mijały mnie jak gwiazdy przy locie w kosmos, stałem się jednością, a nogi napędzały mechanizm, który zabierał mnie w najdalsze rejony Krakowa i mej świadomości.

Jeśli w ogóle wydarzyło się cokolwiek, to to. To ten dach i rower.

Później miga mi Klaudia, ale mógł być to sen.

Kazik pojawił się też, gdy wchodziliśmy do mieszkania Kuby. Było ładne, z przereklamowaną antresolą. Tak to jest muzykami – nie ma z nimi o czym rozmawiać, ale można zerznąć ich kobietę piętro wyżej, podczas gdy oni słuchają marnego jazzu z płyt winylowych.

Kazik zaskakuje mnie zawsze. O ile w ogóle istnieje.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stawitzky, dodano 08.02.2017 10:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.